

KSIĘGA GAJU LAUROWEGO

Kiedy pływałem wśród wysp południowych, pewnego dnia na jednej z nich znalazłem gospodę otoczoną gajem laurowym. Nigdy wcześniej nie widziałem drzew laurowych. Sądziłem, że gdy wawrzyn rozwija się naturalnie, wyrasta tylko krzak. A tu rosły wysokie, obsypane liśćmi drzewa, co najmniej trzysta. Zanurzony w głębokim zielonym cieniu wdychałem ich korzenny zapach podczas obiadu i kolacji. Do świeżo pieczonej ryby, wina, winogron powietrze o takim aromacie! Kto poświęci tydzień na pobyt w podobnej okolicy, nie pożałuje.

Zacząłem przychodzić na posiłki wcześniej, by móc posiedzieć otoczony tym zapachem. Z ogródka gospody widziałem morze i niewielki port, w którym krzątali się robotnicy, rybacy i przekupki sprzedające figi. Dalej, w zatoce, niewielkie wysepki porośnięte cyprysami, na jednej z nich klasztor. Siedziałem bezczynnie w cieniu, morze iskrzyło się w promieniach słońca, jaśniała biel skał. Po obiedzie piłem kawę po turecku, po czym wyciągałem się na leżaku, kładłem nogi na krześle i rozkoszowałem się mocnym, wonnym tytoniem. Czasami zapadałem w krótką drzemkę, a gdy budziłem się z niej, znów przyglądałem się okolicy.

Byłem senny, ale piękno, które mnie otaczało, nie pozwalało zasnąć. Nie umiałem wybrać między snem a jawą. Światło południa, wiejący od morza miękki wiatr, korzenne powietrze wydawały mi się snem prawdziwszym od tych, które śniłem.

Nagle pomyślałem, że nie mam przy sobie żadnej książki. Takiej, którą chętnie bym teraz czytał. Ta myśl narastała we mnie powoli, tak jak powoli rozwiewał się dym w zielonym cieniu, bez pośpiechu i pogodnie. Co ja tu ze sobą przywiozłem? Księgę wędrowca, dziennik pokładowy, księgę zmierzchu. Ale nie mam ani jednej księgi gaju laurowego. Zastanowiłem się, jaka by ona była, gdybym ją przywiózł: chińska? Francuska? Grecka? Angielska?

Postanowiłem wówczas, że na podobne okazje, nie dla innych, tylko dla siebie samego, albo może nie dla siebie, tylko właśnie dla innych, kiedyś, gdy czas i Muzy na to pozwolą, napiszę książkę. Specjalnie dla takiego miejsca, książkę, którą można odłożyć w chwili, gdy na stole postawią zupę. A potem, zanim przyniosą rybę, znów przeczytać pięćdziesiąt lub sto linijek. Między dwoma łykami wina i po kawie. Dwie kartki przed kolacją. Książkę, która się nie obrazi, gdy człowiek podniesie znad niej wzrok, by spojrzeć na morze i zapatrzeć się tam na coś, o czym za chwilę zapomni. Książkę, którą można zgubić i podarować.

W pokoju, w domu czy bibliotece nie będzie przyciągać naszej uwagi. Nawet nie warto jej tam czytać. Daje przyjemność jedynie w korzennym zapachu drzew laurowych. Najlepiej po kawie, kiedy człowiek spoczywa na leżaku, zaciąga się wonnym papierosem, przeczyta półtorej strony i zapada w słodką drzemkę, podczas gdy mewy kołują nad błękitem wody.

MEDYTACJA NA SZCZYCIE GÓRY O ZMIERZCHU,
CZYLI METAFIZYKA LUDZKICH DZIAŁAŃ

Ziemię otoczoną zewsząd morzem nazywamy wyspą. To ściśle określenie; a jednak, kiedy po raz pierwszy znalazłem się na tamtej wyspie, wszedłem na wznoszącą się na niej górę i ujrzałem wokół tylko wodę, zdumiałem się. To coś zupełnie innego niż w definicji. Byłem poruszony.

Mieszkałem tam dwa tygodnie i każdego popołudnia, kiedy upał cokolwiek zelżał, wspinałem się na szczyt góry. W czarodziejskim zapachu żółtego rozmarynu przesiadywałem na schodkach prowadzących do kapliczki. Czytałem, najczęściej głośno, żeby morze też słyszało. Czasem podnosiłem wzrok, ogarniałem spojrzeniem linię brzegu i powtarzałem z uśmiechem: wyspa.

Na południowym wschodzie, za wodą, na linii horyzontu leżało miasto. W ciągu dnia znikało w wilgotnym powietrzu, ukazywało się dopiero wieczorem, kiedy zapalano lampy. Wyspa liczyła stu pięćdziesięciu mieszkańców, głównie rybaków, dwa razy w tygodniu mały statek przywoził tu pocztę, tak więc moją jedyną więzią ze światem kultury było odległe światło lamp

miasteczka. Nie martwiło mnie to specjalnie i nie interesowało; przyjąłem do wiadomości, że w oddali mieszka i wykonuje swoje codzienne czynności dwadzieścia czy ileś tam tysięcy ludzi.

Zwracam oczy ku wiosce rybackiej. Przed dom leżący na jej skraju wtacza się ręczny wózek wyładowany kłodami drewna. Mężczyzna podnosi jedną, opiera o ramię, przenosi na odległość dziesięciu kroków i kładzie na ziemi. Wraca, podnosi drugą, zanosz na miejsce, kładzie. W końcu wózek jest pusty. Wówczas podnosi kłodę i kładzie ją na kozioł. Z gwoździa przy drzwiach zdejmuję piłę i przykłada do kłody. Kiedy kończy piłować, kolejno podnosi klocki, stawia je na pieńku, bierze do ręki siekiere, rąbie klocki na polana i w końcu odkłada siekiere. Zbiera polana, układa je w koszu, podnosi go i wnosi do domu. A więc pokrótce: podnosi, przenosi, kładzie, zdejmuję, zbiera, wnosi.

Przyglądałem się kiedyś budowie wielkiego żelaznego mostu. Miały po nim jeździć pociągi, auta, chodzić ludzie, maszerować wojsko. Robotnik bierze gwóźdź i wbija go. Zdejmuję z ciężarówki stalową płytę, wnosi ją na most i kładzie. Odbiera ją inny robotnik, podnosi, kładzie w inne miejsce. Wyjmuje gwóźdź z pudełka. Trzyma go w ogniu. Kiedy gwóźdź jest już rozżarzony, wyjmuje go z ognia, przykłada do konstrukcji mostu i wbija. Wszystko po to, by przez ten most człowiek mógł przenieść to, co wyjął i włożył, zdjął, przejął i położył.

Albo myślę o tym, co robię rano, kiedy wstaję: wyjmuję nogi spod kołdry, zdejmuję koszulę nocną, podnoszę dzbanek, wylewam z niego wodę, odkładam dzbanek, biorę mydło, namydlam się, oblewam wodą, biorę ręcznik, potem go odkładam, biorę kubek,

nakładam pastę na szczoteczkę do zębów, wkładam ją do ust, potem wyjmuję, potem to wszystko odkładam, zakładam ubranie i buty, wkładam do kieszeni różne przedmioty. Pokrótce: podnoszę, odkładam, wyjmuję, biorę, zdejmuję, zanoszę, zbieram.

Rozmyślałem o tym na wyspie, na górze, o zmierzchu, bez szczególnej melancholii czy kpiny, patrząc na zapalające się światła lamp, i zastanawiałem się, co robią na tym niewielkim miejscu te tysiące ludzi. Co oni robią? Wykonują zwyczajne ludzkie czynności. A co to jest zwyczajna czynność? Człowiek rąbie drwa, buduje dom albo ubiera się. Innymi słowy: wyjmuje, wkłada, podnosi, zdejmuje, zanosz, zbiera, wnosz. Wielu ludzi nie czyni tego odruchowo, tylko cierpliwie, z ochotą, uważnie, z oddaniem, w sposób pod wieloma względami doskonale wyuczony, wyćwiczony, dumnie, z powołaniem wynoszą, wkładają, wyjmują, zdejmują, podnoszą, usuwają, zanoszą, zbierają, odnoszą, wnoszą. Wykonywaniu tych czynności nadajemy zazwyczaj jakieś znaczenie. Gdy ktoś przeszkodzi, gotowiśmy się pogniewać, gdy spotykamy się z krytyką, próbujemy nauczyć się robić to lepiej. Już niemowlę wyciąga mleko z piersi matki, przenosi je do żołądka, a zbyteczny efekt usuwa. Grzechotkę podnosi i kładzie. Wkrótce w szkole podniesie pióro, włoży je do kałamarza i położy na papierze. Wszystko to jest niesłychanie ważne.

Bez cienia ironii.